

# Typowa polska kuchnia

AUTOR: HENRYK MAZURKIEWICZ

**W Wyszedł z domu. Tak zwanej komedii** Marek Fiedor nie zamierza ani z Różewiczem polemizować, ani specjalnie go uwspółcześniać. Powtarza właściwie te same rozwiązania, których użył, wystawiając sztukę w Teatrze Polskim w Poznaniu piętnaście lat temu.

■ „Twórca zaangażowany to twórca zaangażowany w walkę o nową formę” – podkreślał Różewicz w liście napisanym z okazji sześćdziesięciolecia Wrocławskiego Teatru Współczesnego. Miejsca, gdzie o „nową formę” – wystawiając, nieraz prapremierowo, jego dramaty – walczyli tacy reżyserzy jak Jerzy Jarocki czy Kazimierz Braun. W 2006 roku swoją wersję *Kartoteki* na deskach Współczesnego przedstawił Michał Zadara. Spektakl ten, pełen twórczego bałaganu i sztubackiej zabawy, zacierający podział na scenę i widownię, przez lata cieszył się powodzeniem u publiczności. Reakcja krytyki natomiast była mieszana. Najczęściej chodziło o formę właśnie. Wszystko wskazuje na to, że kontrowersje wokół najnowszej premiery *Wyszedł z domu. Tak zwanej komedii* Marka Fiedora również będą jej dotyczyć. Wątpię natomiast, by dzieło to mogło przyciągać widzów do Sceny na Strychu z równym powodzeniem co *Kartoteka*.

Fiedor, znany z wierności wystawianym autorom, zaczyna w tym samym punkcie co i Różewicz. Przenosi jedynie akcję sztuki z dużego pokoju do kuchni. Żadnych więc wygodnych foteli, kolekcji zepsutych zegarów i palmy w rogu. Zamiast tego zwarta ściana kuchennych mebli i sprzętów. Na osobną uwagę zasługuje żyjący własnym życiem radioodbiornik. Włącza się, kiedy mu się podoba i komentuje wydarzenia sceniczne. Scenografia Niki Jaworskiej jest więc minimalistyczna i schludna, lecz nieco nudna w swej umowności. Chociaż, nie do końca wiadomo, czy taką dokładnie

nie miała być. Ot, typowa polska kuchnia w mieszkaniu typowej polskiej rodziny.

Czas na podobne refleksje przychodzi ciut później, ponieważ rozpoczynający spektakl monolog Ewy brzmi naprawdę przejmująco. A to dzięki Zinie Kerste, wielce utalentowanej aktorce, której szczególnie dobrze udają się medytacje nad stanem bliskim rozpacz, jednocześnie kwestionujące sens tego dotkliwego niepokoju („co ja wygaduję”). Kerste podaje tekst małymi porcjami, powoli i konsekwentnie, uważnie rozstawiając pauzy. Dzięki temu możemy delektować się Różewiczowską frazą oraz uważnie śledzić uprawianą przez poetę od pierwszego zdania stylistyczną i semantyczną żonglerkę.

Utyskiwania Ewy da się streścić w wstępie tytułowej bohaterki Witkiewiczowskiej *Matki*: „Miałam kiedyś duszę, a nawet ciało”. Ewa ani jednego, ani drugiego nie potrafi bowiem pomyśleć w oderwaniu od swego męża Henryka. To on nadaje im sens i głębię. Co ma więc począć, kiedy małżonek zniknął? Wyszedł i nie wrócił, zostawiając ją z dwójką dzieci – nieco wycofaną i szorstką nastoletnią Gizelą (Dominika Probachta) oraz małym Beniaminem (Tomasz Taranta), rozczarowanym światem dorosłych.

Chociaż z tym zniknięciem nieco przesadzono. Podczas relacjonowania całej sprawy przybyłemu do mieszkania policjantowi (Maciej Kowalczyk) wyjaśnia się, że Henryk spóźnia się jedynie o jakąś godzinę. Ale zegar tejże duszy i tegoż ciała – tłumaczy Ewa – rządzi się

własnymi prawami. Do tego złe przecucia domowników okażą się niebezpieczne. Głowa rodziny wkrótce się odnajdzie, tylko że pośliznąwszy się na skórce od banana, własną głowę zdąży porządnie uszkodzić. Do domu wjedzie na wózku. Kończyny ma sprawne, ale kompletnie stracił pamięć. Nie wie, kim jest, do żony zwraca się per pani.

O wiele rzeczy w *Wyszedł z domu...* można by się sprzeczać, jest jednak w przedstawieniu szereg scen ewidentnie słabych. Jak choćby ta, którą Różewicz opisywał jako „taniec samców” w wykonaniu stada „zalotników”. Miała ona skontrapunktować wyznania Ewy, stając się przebłyskiem istnej fantasmagorii, z przebijaniem w skóry psów i pawianów, defiladą „jakichś dystyngowanych urzędników, żołnierzy, atletów, kleryków oraz prowincjalnych drobnych urzędników w sakpaltach z teczkami w rękach”. Tu Fiedor mógłby puścić wodze wyobraźni i wzbogacić dość ubogi wizualnie i ruchowo spektakl o mocną scenę plastyczną. Zamiast tego zadowolili się dziwacznym i niezbyt przekonującym układem choreograficznym. Niewyraźną szarpaniną w ciemnościach, wykonaną przez grupę ubranych na czarno osób.

Podobne poczucie zmarnowanego potencjału i pójścia na skrót wywołuje scena z grabarzami. Ich cięte, pełne czarnego humoru dialogi o „pożywnych prawdach prostych ciemnych ludzi” zredukowano do serii nagrań mających imitować wypowiedzi widzów. Kowalczyk jako Obcy zadaje publiczności pytania



WROCŁAWSKI TEATR  
WSPÓŁCZESNY

**Wyszedł z domu.  
Tak zwana komedia**  
na podstawie sztuki  
Tadeusza Różewicza

reżyseria  
**Marek Fiedor**  
scenografia  
**Nika Jaworowska**  
światło  
**Jan Sławkowski**  
muzyka  
**Tomasz Hynek**

premiera  
8 stycznia 2022

Mariusz Kiljan  
[Henryk],  
Zina Kerste  
[Ewa]

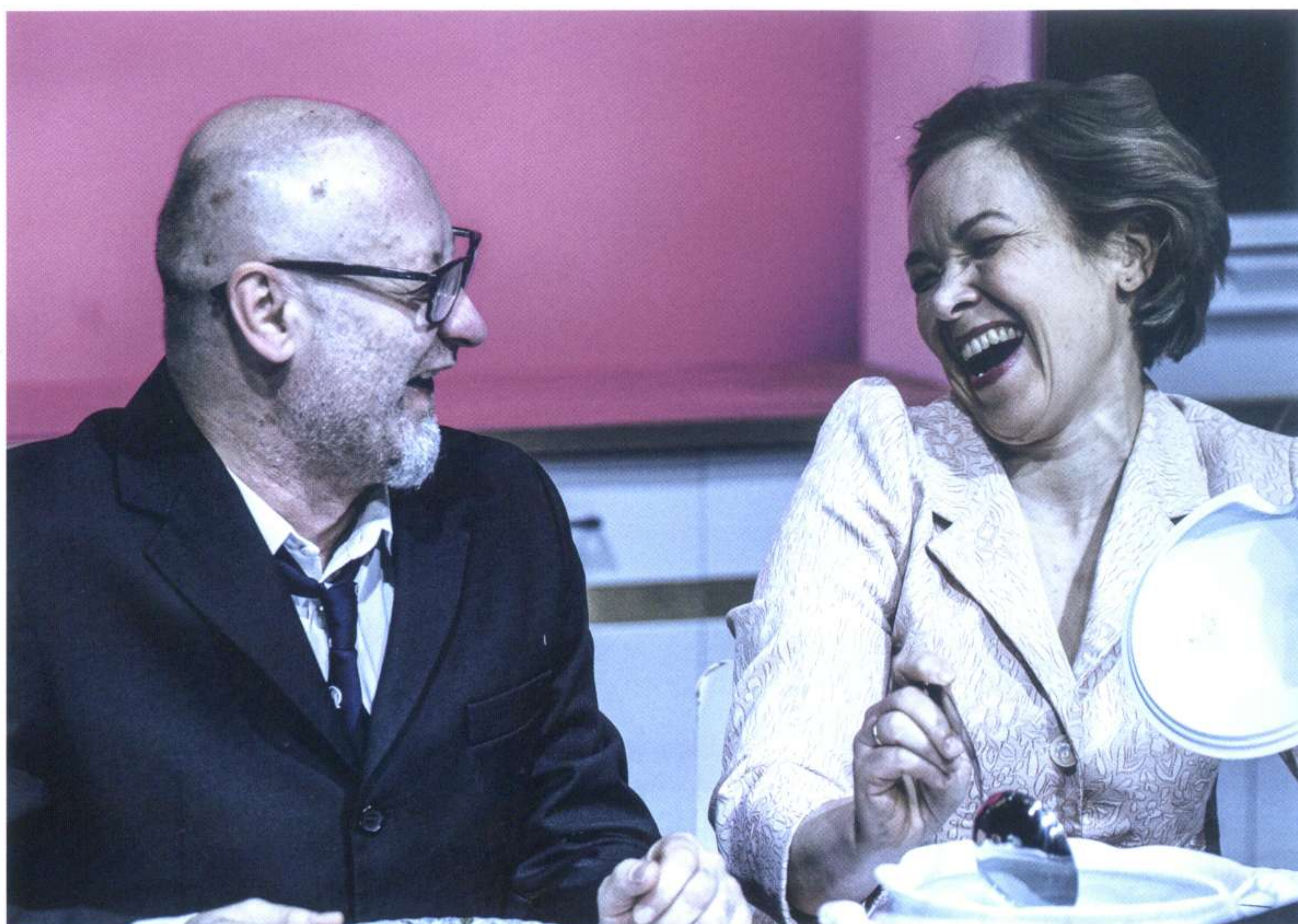


foto: Filip Wierzbicki / Wrocławski Teatr Współczesny

i szybko, nie czekając, aż ktoś ujawni chęć zabrania głosu, wyciąga mikrofon do wybranej przez siebie osoby. Wtedy właśnie leci tekst z offu. Ta niezbyt udana zabawa w zakłóconą interakcję powoduje, że w mało sensownym działaniu roztapia się ważny i wyjątkowo aktualny wątek naszej skłonności do nieustannej rewizji historii i jej (anty)bohaterów.

Nadmiernie wyeksponowana zostaje natomiast akcja reedukacji ojca w sferze „spraw społeczno-politycznych”. Misję tę powierzono córce, która wyciąga stos gazet i zaczyna cytować rodzicowi co najsoczystsze urywki. O tym, że „najważniejsze, żeby Polska była katolicka”, bo poza Kościołem „jest nihilizm i my ten nihilizm odrzucamy”. Gorzej nawet, poza Kościołem czai się gender, który paodobno gorszy jest od komunizmu. Gizela raz za razem zapytuje rodzica, czy przypomina sobie, kto jest autorem tych jaskrawych wypowiedzi. Ten bezskutecznie przetrząsa pamięć, która na tyle oczyściła się z zawiloci wojny polsko-polskiej, że nawet podrzucaną mu podpowiedź „Kaczy...” Henryk kończy niewinnie „...dziub”. Publiczność, która jest pod tym względem znacznie mniej niewinna, parska śmiechem. Ale podobna, rodem z niezbyt wyrafinowanego kabaretu, satyra kompromituje raczej samego satyryka, który zadowolili się tak powierzchownym przedstawieniem racji drugiej strony. Poza tym, cóż nowego czy odkrywczego znajdziemy w tej wzajemnej nawalance?

Całkiem niezłe *Wyszedł z domu...* wypada jedynie jako nieco absurdalny dramat psychologiczny. W tych sekwencjach, gdy Ewa uświadamia Henrykowi, że nie może tak sobie „zrzucić skóry” i „zacząć od początku”. Przypomina mu, że założył rodzinę, że jest nieszczęśliwy. Że szczęśliwym być nie może, bo przecież „jest dorosłym człowiekiem, a nie jakimś matołkiem czy poetą” i ma przygotować referat. Dlatego Henryka Mariusza Kiljana najbardziej żal nie wtedy, gdy siedząc na wózku, zagubiony, mamrocze coś pod nosem, lecz w chwili, gdy w przypływie entuzjazmu dla nowego początku próbuje podnieść lodówkę. Bezskutecznie. Biedakowi pozostało przyswoić kolejną ważną naukę, że o pełni uzdrowienia decyduje nie pacjent, tylko społeczeństwo, do którego ten ma powrócić.

Pod tym względem Różewicz wciąż pozostaje aktualny w swoich diagnozach. Pytanie tylko, czy aktualnymi są zapisane w jego utworach sposoby oddziaływania na wrażliwość współczesnego widza. Tego, którego codziennie bombarduje się różnymi tematycznie i stylistycznie przekazami. Żyjącego tyleż w przestrzeni miejskiej, co wirtualnej, z których każda dawno już stała się kolażem nieraz nie mniej absurdalnym niż te, które układał Różewicz. Fiedor jednakże wydaje się tym nie przejmować. Nie zamierza ani z Różewiczem polemizować, ani nawet go specjalnie uwspółcześniać. Rezygnuje z miana „twórcy zaangażowanego”

” i walki o nową formę nawet nie wszczyna. Powtarza właściwie te same rozwiązania, których użył, wystawiając *Wyszedł z domu...* piętnaście lat temu. Również ze scenografią Niki Jaworowskiej i z Ziną Kerste w roli Ewy.

Trudno więc dziwić się, że spektakl, któremu brakuje surrealistycznej grozy, mocnych kontrastów, efektu obcości oraz prób dekonstruowania form dramatycznych, pozostawia wrażenie obcowania z czymś, co nadgryzł już ząb czasu. Co stało się częścią historii teatru i należy raczej do „wtedy” niż „teraz”.

Nieprzypadkowo też w pamięć zapada jedynie finał. Podczas wspólnej kolacji, co i rusz przerywanej na – dosłowne i przenośne – „rzyganie” konwenansem i jałowością rodzinnych rytuałów, z zatkanego zlewu nagle zaczyna wylewać się brązowa ciecz. Ścieka obficie po białej szafce wprost na podłogę, gdzie robi się coraz większa obrzydliwa kałuża. Domownicy wydają się tego w ogóle nie zauważać. Ja z kolei nie zwracałem wówczas uwagi na nich. Z większą ciekawością przyglądałem się temu niepozornemu procesowi, niż wsłuchiwałem się w dialog. Ten zupełnie nie był w stanie mnie zaangażować. Przegrał z kretelem z wtargnięciem bezkształtnej materii, która w tym przypadku, paradoksalnie, stała się jedyną godną tego miana manifestacją formy. Może nienowej, ale potrafiącej wybudzić widza z drzemki. ■